Nr. 2. We Lwowie dnia 14. stycznia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

WŁADYSŁAW ORKAN:

Błażkowa Łysina

Błażkowej babie nigdy się nie cnęło. Zawdy miała cosi do mówienia. Gadała też wciąż i bezustanku, bojąc się, by się jej zuchwy nie zastały. Byłaby to najgorsza bieda! Lękała się tego bardzo, najbardziej ze wszystkiego. Wolałaby oślepnąć, wolałaby nie wiem co, żeby jej tylko mowy nie zabrakło, broń Boże. A raz już w chorobie wielkiej, pamięta, o mało, że się jej to nie przytrafiło. Obudziła się rano, patrzy i widzi: zaspana Maryna wsypuje oskrobane ziemniaki do garnka, w którym się zwykle świniom jadło gotuje — chce zawołać na nią po imieniu, nie może... Szczęki się zacięły mocno, jak drzwi na mrozie i ani rusz otworzyć! — „Bedziesz-ta!“ — pomyślała — „To już widać koniec. Amen już, amen!“ — poczęła w sercu lamentować głośno, ale się sama nie słyszała i nikt jej nie słyszał. Ziemniaki będą się warzyć w świńskim garnku, nic nie pomoże. Szczęściem djabli nadnieśli Błażka. Wszedł i spojrzał na wyrek boczawo, czy „piekło“ drzemie, czy śpi... Zobaczył oczy wyłupione ku garnkom i zęby ścięte w jeden rząd. „Wieczne odpoczywanie!“ — szepnął — „Wyjmij z półki gromnicę i zaświeć!“ — zwrócił się do Maryny. W te razy baba zerwała się na siedzącko dziwną jakąś mocą, zęby też same odskoczyły i wypadło jedno słowo, które się na nich zatrzymało było: „psiaduszo!“ Błażek zmartwiał z radości, że baba ożyła, Maryna musiała zjeść niemało djabłów, a Błażkowa już odtąd nie zamykała gęby, lękając się i słusznie zamrożenia szczęk. Słychać ją było wszędy, w izbie i na osiedlu, po za osiedlem i w całej wsi.

Jak nie miała z kim gadać, gadała ze sobą, ale najbardziej lubiała gwarzyć ze starą Łysiną, bo ta już zrozumiała wszystko, co jej kto powiedział i wszystkiego wysłuchała z jednakim spokojem, jak zwyczajnie krowina dobrze wychowana na cudzej koniczynie i na cudzem zbożu. Bo swojego nie tknęła nigdy, co jej się chwaliło przy każdym podoju, a nawet częściej, po każdym powrocie do obory.

— Napasła się Łysinka — mówiła do niej Błażkowa zdrobniale, a zawdy z pewnem uszanowaniem, przez trzecią osobę. — Napasła się, teraz będzie nynać... O co Łysinka ryczy? O co? O wodę może, o wodę! Zaraz, zaraz my cię tu napoimy... ino trza poczkać chwilę, malutką chwilusię... Maryna! — wychylała się z obory do sieni. — Czemuś ty, suko, wody nie przyniosła? To ja ci codzień będę przypominać? Nie widzisz, że Łysina czeka? pić jej się chce... A mleko byś jadła, ty, spychaczu dziadowski! Bierz konewki zaraz, bo jak pudę...

Maryna, mrucząc po cichu, brała konewki obie i szła po wodę dla Łysiny. Łysina piła, obracając wielkie, załzawione oczy dokoła po oborze. Te oczy zdawały się pytać i odpowiadać, rozumne oczy. Błażkowa też nieraz, patrząc w nie, gdy się jej zdawały smutne, pytała się: „Co ci to brakuje?“ I wnet znajdowała sama za nie odpowiedź, która trafiała zawdy do krowiego serca, do krowiej chęci. W tych chęciach objawiała się cała jej dusza — i oczy zawdy mówiły jeno: „chcę“. Gdy nie dość silnie wyrażały jej wolę, pragnienia, wówczas prosiła, jak umiała, rycząc. Mowy tej używała w ostateczności, gdy już w chałupie Błażkowej nie było, bo przy niej, to niczego chęciom jej nie zbrakło. Miała wszystkiego (po uszy — trudno powiedzieć, ale) po kolana. Sypiała na ogryzinach, wyżutych ze żłobu. Miękko jej było. W tygodniu odróżniała jeden dzień: piątek, kiedy Błażkowa poszła do kościoła. Naryczała się wtedy po próżnicy, aż ją zuchwy bolały.

Za to popołudnie tego dnia było dla niej świętem. Błażkowa, chcąc jej wynagrodzić postne dopołuń, pasła ją podwójnie i poiła słoną wodą, głaszcząc dłonią popadaną jej miękką sierść. Łysina łaskawie znosiła głaskanie to gwoli jadła: skóra jeno na niej drżała, bo była cliwą.

— Nie dali mojej Łysince, nie dali! — żałowała Błażkowa. — Umorzyćby chcieli moją Łysinkę, wierutne katy!... Czekajcie, hycle! Dam ja wam na wieczerzę suchą miskę oblizać! Będziecie widzieć, jakto dobrze mieć próżniuteńki żłób.

Naoscymała jej do ucha, wymyślając przytem chłopa i Marynę — i Łysina była bardzo rada. Tak się przynajmniej Błażkowej zdawało.

Doiła ją zawdy sama (Błażkowa — Łysinę), nie mogąc się na nikogo spuścić. Bo też doiła, kunsztownie, jak nikt. Tajemnice przytem znała wszelakie, jeszcze od babki niebożyczki, która ją uczyła sposobów odczyniania uroku i czarów. A pochlebstwami więcej mleka wyciągała, niż krowa mogła dać.

— Widzisz, — mówiła do niej — jakaś ty cacana... Insza by już dawno przestała dawać, a Łysinka się doi, nie ustaje. Za to będzie mieć drobniutkie siano za drabiną, jak przyjdzie z pola... Nasza Łysinka, nasza... No, jeszcze kapeczkę! Po wyżnie obrączki... Tak.

Miewali czasem i dwie krowy, jak się Błażek na lato wspomógł. Ale do żadnej nie przywykła tak Błażkowa, jak do tej. Bo też od maleńkości ją chowała. Pamięta ją małą cieliczką zabeczaną, potem jałówką większą, strasznie chytką, a wreszcie stateczną krową już od siedmiu lat. Tamte były i przeszły, przedać je musieli ku zimie, bo chować nie zawdy było czem, a ta się jakoś dzierży w chałupie, jak ta komornica, która się przyjmie do rodziny i trudno ją oddalać, kiedy już „swoja". Z kimżeby zresztą Błażkowa gadała? Zacnęłoby się jej na piękne, jakby Łysiny, czego Boże nie daj, zbrakło w chałupie. Tak jest przecie jaka taka ozrywka i jest do kogo uczciwe słowo przemówić, na ten przykład. Bo z ludźmi nie poradzi, nie. Błażkowa dawno z nimi już zerwała. Nawet własnego rodzonego chłopa „djabłami" codzień pasła. To też schudł, jak ten święty Łukasz w ołtarzu, co tam stoi od niepamiętnych czasów. Łysina za to była tłusta. Pasała ją sama Błażkowa i wodziła po za płoty pomiędzy zboża — gdzie i którędy, wie sam Bóg, na którego się odwoływała, gdy jej kto niechcący zarzucił szkodę.

— On ta widzi, On patrzy, choć On ta wysoko...

Trudno było oczywiście fantować szkodę, skoro samo oko Boskie chodziło za Łysiną. Z Błażkową jeszcze nikt rzędu nie doszedł.

— Niech ją ta sądzi sam Bóg — powiadali — skoro to widzi...

Złość wielka na Błażkową i na jej Łysinę ustępowała miejsca niemałej uciesze, gdy je słyszano gadające ze sobą, jak dwie kumoszki.

— Patrzcie-no się — wołano w osiedlu — Błażkowa krowę żenie bez ulicę...

Z Kolędą*).

Tam daleko świeci słońce i wielkie kwiaty kwitną...

Tam daleko szafirowe jezioro leży u Twoich stóp i nigdy niewiędnące bluszcze do okien Ci patrzą...

I pachną róże...

A tu — śnieg pada i ściele się na pola, jak biały, srebrem tkany obrus, świat — do mistycznej jakiejś Wigilji sposobiąc.

A tu śnieg pada i gwiaździstym swoim puchem zasnuwa świerki i krzepnie...

* * *

Nizki, jasny pokój, pełen zapachu sośniny i ciasta. Zielone drzewko w migocie świeczek stojące i kolęda dziecinnych głosów.

— Pamiętasz ją...? Słyszysz?...

* * *

O, gdyby tak można, gdyby można ujrzeć cię tu nagle na tle migocącej choiny! Gdyby cię można w ten wieczór tajemniczy, cudowny ujrzeć na chwilę i płakać potem długo... po cichu — po ciemku — na zabój!

* * *

Noc mroźna, grudniowa, pełna mgieł iskrzących w powietrzu... Na niebie czystem księżyc...

Szeroka... biała droga pośród lasu.

Olbrzymie świerki stoją w zawałach śniegu, jakiejś drużynie posągów białych podobne, z ramiony pod ciężarem puszystych błamów zwisłemi, niby rzeźby pierwotne jakichś bożyszcz dawnych, w czarach tej srebrnej nocy wstające. Stoją tajemnicze, w lodowatych gronostajach śniegu, w brylantach koron swoich zakrzepłe — ogromne.

Droga — iskrami mroźnych pyłów zawiana, w świat za oczy gdzieś wiedzie.

— Droga, którą nigdy nie szłaś do mnie.

— Droga, którą nigdy nie przyjdziesz —

— o, duszo! —

* * *

A na niebie, przyćmiona srebrzystą łuną księżyca, iskrzy się gwiazda biała, igłami pro-

*) Nie mogliśmy umieścić, niestety, we właściwym czasie tej „Kolędy", niby nocturn Szopenowski, smutnej i jak on pięknej. Nie wątpimy jednak, że czytelnicy nasi odczują z niemniejszą siłą czar tego utworu, chociaż i nie w Wigilję z nim się zapoznają, należy on bowiem do kategorji tych, co trwają dłużej, niż chwila, która je powołała do życia. *(Przyp. Red.)*

Na to każdy, choćby najpilniejszą robotę miał, przypadał do okna — i widać było przez zadymione szyby stosy głów, mniejszych i większych, układzione na sobie, jak drwa na poleni i w okopceniu śniade, roześmiane szeroko twarze

A ona gnała prosto na ugory, nie widząc nic. Tak była w sobie ciężko zamyślona i zagadana z kochaną Łysiną. Tak.

(C. d. n.)

Pierwsza próba spędzania zimy pod biegunem południowym

według opisu Dra Cooka

Wszystkie dotychczas przedsiębrane wyprawy ku biegunowi południowemu zatrzymywały się u zewnętrznego skraju przerażającej masy lodowej zwanej „paek“, która zagradza drogę ku biegunowi. Ale Gerlach, kapitan statku „Belgica“ postanowił użyć wszelkich wysiłków, aby zagłębić się w główną masę lodową i zbliżyć się o ile możności do bieguna. 13. stycznia 1898 r. załoga „Belgici“ po raz pierwszy ujrzała „paek“, drobne kawałki pływającego lodu ukazywać się zaczęły już w bliskości ziemi Grahama: wkrótce bryły lodu stawały się coraz większe, aż nareszcie olbrzymie pola i góry lodowe zaczęły otaczać statek ze wszystkich stron.

A statek wciąż biegł to rozbijając po drodze kawały lodu, to rozsuwając duże bryły zbliżone ku sobie. Lecz była to walka nierówna, głazy stawały się coraz cięższe i coraz grubsze. Załoga wkrótce zrozumiała, że dalej posuwać się było niepodobieństwem. 4. marca podróżnicy zaniechali wszelkich prób torowania sobie drogi i oddali się na łaskę otaczających je ze wszech stron lodów, na łaskę wichrów i prądów wody. „Belgica“ znajdowało się tego dnia pod 71° stopniem szerokości a 84° długości, oddalona o 2040 wiorst od południowego bieguna geograficznego, najbliższym zaś lądem była mało znana jeszcze wyspa Aleksandra o 300 mil morskich na wschód położona. „Belgica“ uwięzioną przeto została

---

myków świecąca; ta sama, co wtedy — dawno — ta sama...

Za promieniem tej gwiazdy królewskiej, wstęgą drogi białej i lśniącej, w nawę zamarzłego lasu — szczęściu memu wychodzę oto naprzeciw!

A w lesie cisza...

Czasem tylko pryśnie coś nagle, jak iskra na śniegu gasnąca, czasem zachrzęści coś z cicha — jakby się te drzewa leśne, w powadze uroczystej nocy stojące, białym opłatkiem między sobą łamały...

Cisza i pustka...

. . . .

I prędzej mi na tym śnieżnym całunie złota paproć najkrótszej nocy zakwitnie, prędzej ta gwiazda mistyczna ogromnym brylantem przed stopy upadnie — prędzej się księżyc ludzką, litościwą uśmiechnie do mnie twarzą — niż ty mi się spełnisz, o bajko!

Bajka, wszystko bajka!

A las stoi cichy, zasłuchany w zaświatowe jakieś kolędy — i tylko się pyły mroźne palą na śniegach, tylko księżyc płynie po niebie, jasny, do Hostji tajemniczej podobny...

* * *

A przecie płacze mi dusza na głos — a przecie za tym najbielszym snem mego życia ręce wyciągam — i wołam go i czekam — daremnie!

Bo jednak nie wszystko jest bajką!

* * *

A noc taka kryształowa, taka jasna, że mogłyby się dziać cuda tej nocy.

W takie wielkie święto — jakieś wielkie szczęście...

Szczęście czyste, jak te śniegi i jak te szrony chłodne, krótkie, smutne szczęście przelotnej godziny, takiej godziny, którą się żyje lata całe, z której się czerpie siłę i blask — i lot — i ukojenie...

Wielkie, opłakane, beznadziejne szczęście!..

* * *

A nad ziemią jest noc błękitna, po domach jarzą się blaskiem choiny, nizkie sufity drżą echem kolęd, a ściany chat najlichszych rozszerzać się zdają — weselem...

* * *

Tą białą, gronostajem śniegów wysłaną drogą przyjść możesz do mnie tej nocy...

Każdej godziny się zjawić — a z tobą całe rozśpiewane niebo otworzyć mi się może na ścieżaj...

wśród lodów i pozostawała w tej pozycji przez 13 długich miesięcy. Jednakże statek pchany przez prąd wody posuwał się wciąż dalej i przebiegał od 5 do 40 mil morskich na dobę. Pomimo to ruchu tego dostrzedz nie było można, gdyż wraz ze statkiem pchane były naprzód otaczające go masy lodu.

„Dziwne to uczucie, mówi doktor Cook, biedz tak wraz z wiatrem na nieznanem morzu, popychanym będąc przez ślepą siłę. A jednak nie byliśmy w stanie zauważyć tego ruchu, gdyż wszystkie bryły lodowe wydają się nieruchome, wszystko dokoła spoczywa jakby we śnie. A na widnokręgu nie widać żadnego lądu, niema żadnego stałego punktu, po którym by poznać można było, że jesteśmy w ruchu; nie wiedzieliśmy przeto nigdy, gdzie się znajdujemy, byliśmy tylko świadomi tego, że jesteśmy jedynemi istotami ludzkiemi w tej krainie podbiegunowej".

Poddali się jednak z rezygnacją swemu losowi, wszyscy bowiem podróżnicy udający się do bieguna, spodziewać się mogą, że zostaną uwięzieni wśród lodu. Wszystkie swe usiłowania skierowali jedynie ku temu, aby odpowiednio przygotować się do nastąpić mającej długiej nocy zimowej. Pod tą bowiem szerokością geograficzną słońce zachodzi w styczniu o północy; potem dnie stają się coraz krótsze a w maju słońce się chowa i nie pokazuje się na widnokręgu przez 71 dni.

„W początkach naszej żeglugi wśród lodów, miesiące marzec i kwiecień zaliczały się do najprzyjemniejszych w całym roku. Wszystko było wówczas dla nas nowe: zaciekawiał nas dziwny krzyk pingwinów, polowaliśmy na wydry i ptaki morskie, aby zebrać rozmaite ich okazy. Wszystko pociągało nas w tem nowem życiu, w tym białym świecie. Zaciekawiał nas bardzo sam „paek", ta niezmierna płaszczyzna lodu, na pozór nieruchoma, lecz popychana wciąż dalej przez wiatr. Obserwowaliśmy wschód słońca i księżyca, wygląd gwiazd, błyszczących jak drogie kamienie oraz piękne barwy zorzy południowej".

„Prąd gnał nas szybko w kierunku południowo zachodnim; opuszczaliśmy nieznane nam morza, aby płynąć ku jeszcze mniej znanym, chwilami miewaliśmy nadzieję, że płyniemy wprost do bieguna południowego".

„Ponieważ wciąż płynęliśmy dalej, spodziewaliśmy się przeto nieustannie, że napotkać możemy jakiś ląd, jakąkolwiek chociażby skałę, lub w ogóle coś nowego na naszej drodze. I nigdy nic. Podczas długiej naszej podróży z prądem wody nie napotkaliśmy nigdy ziemi. A dokoła nas roztaczała się zawsze jednakowa monotonja, wciąż te same płaszczyzny i góry lodowe, które nas uwięziły i płynęły wraz z nami".

„16. maja słońce po raz ostatni zniknęło za widnokręgiem i miało nie pokazywać się 1700 godzin. Lodowata białość otaczających nas przedmiotów stała się lodowatą czarnością. Już miesiąc przed tem nie widywaliśmy prawie słońca; burze następowały po burzach i okrywały niebo gęstą i jak dym czarną mgłą, lecz i to słabe światło zniknąć miało, wkraczaliśmy w ciemności bez końca. Nie mogę wyobrazić sobie, mówi doktor Cook, aby istniało coś bardziej nużącego, bardziej odbierającego wszelką energję i chęć do pracy, jak ta gęsta czarność nieprzerwanie długiej nocy podbiegunowej".

„Obok zajęć ogólnych, każdy z nas zamierzał ukończyć jakąś ważną pracę naukową, zanim ukaże się słońce. Ale niestety wykonaliśmy bardzo małą cząstkę tego, cośmy zamierzali. Energja nasza znikała w miarę zwiększania się ciemności, trudno nam było skupić uwagę na jednym przedmiocie i w końcu przestały nas interesować rezultaty naszych własnych prac. Znużenie nasze było wynikiem nieznośnej jednostajności; upływały dni, tygodnie i miesiące, a życie nasze szło trybem niezmiennym; wstawaliśmy zawsze o tej samej godzinie, spożywaliśmy jednakowy pokarm, wciąż przykuci do jednego miejsca i zajęcia, nawet rozmowy nasze kręciły się zawsze koło tych samych przedmiotów, gdy tym czasem dokoła nas roztaczał się wciąż tenże sam przygnębiający obraz pustyni i lodów. Usiłowaliśmy wyrwać się z tego odrętwienia i próbowaliśmy ożywić nasze rozmowy, poruszać tematy wesołe i przyjemne, ale ta sztuczna wesołość nie długo trwała i znowu zapadaliśmy w zwykły stan

---

Każdej godziny, a z tobą cała moc duszy mojej — cała jej treść przedwieczna!

A więc cię wzywam całą tą mocą, całym wysiłkiem myśli, całą tęsknotą niewybuchniętych płaczów...

A więc cię wzywam ogromnym akordem zamilczanych pieśni, srebrną melancholją mroźnej grudniowej nocy — i grzechem słów tych cię wzywam!...

Przybywaj!

I poleciał dźwięk mojej myśli — drąc się na skamieniałych koronkach szronu, na stalaktytach lodu się łamiąc o kryształową otchłań przestrzeni i przepadł — gdzieś, o gwiazdy boże rozbity!...

* * *

O takiej godzinie niegdyś śpiewał chór śpiewaków niebieskich słodką, zaświatową kolędę...

O takiej godzinie teraz — wielka cisza na niebie, wielki chłód i pustka; tylko zmęczone myśli ludzkie, obłąkanym nietoperzom podobne, ranią sobie skrzydła — o gwiazdy...

O, nocy tajemnicza — o, milcząca nocy!

D. mol.

apatji. Tak nas opanowała zmora czarnej nocy, że na jej podobieństwo staliśmy się smutni, ubezwładnieni.

Na domiar złego, zdrowie podróżników szwankować zaczęło, jedli bardzo mało, gdyż mieli wstręt nieprzezwyciężony zarówno do mięsa konserwowanego, jakoteż i do świeżego mięsa pingwinów, nader przykrego z powodu swego zapachu. Prócz tego bezustanna ciemność, samotność, zimno, częste burze i wilgoć złożyły się na to, że wytworzył się w nich stan osłabienia, anemji i objawiać się zaczęły niepokojące zaburzenia w mózgu oraz i w krążeniu krwi.

W tym smutnym czasie załoga „Belgici“ okrytą została żałobą; jeden z uczestników podróży, porucznik Danev pierwszy odczuł wpływ anemji, wraz ze zniknięciem słońca rozpoczął się zachód jego życia, zgasł wreszcie 5. czerwca. Trudno opisać bolesne wrażenie tej śmierci i pogrzebu, pod osłoną czarnej nocy, wśród śniegiem okrytych płaszczyzn lodowatych.

Podczas długiej nocy antarktycznej, sklepienie niebios zawsze miało jednakowy wygląd. Gwiazdy błyszczały na niebie zarówno w południe jak i o północy. Jedynie zjawianie się księżyca stanowiło pewną rozrywkę i witane było radośnie, gdyż przy jego bladem świetle mogli odbywać przechadzki i odetchnąć świeżem powietrzem, którego im brakowało w ciasnych kajutach. Zorza południowa widzialną bywała niemal codziennie, lecz nigdy nie posiadała ani świetności blasku, ani owych fantastycznych kształtów, właściwych zorzy północnej.

Powoli wlekły się noce bez dni, codzień unosząc cząstkę energji podróżników, wciąż wzmagające się ich osłabienie, pozostawiało im mało nadziei na przyszłość. W celu ratowania swego zdrowia, zaczęli zmuszać się do jedzenia mięsa pingwinów i fok, i ten świeży pokarm wzmocnił znacznie ich wątłe siły; lecz zdrowie i wesołość wróciły zupełnie dopiero wtedy, gdy słońce jaśnieć zaczęło na niebie.

Słońce weszło 25. lipca; tarcza jego była blada, światło słabe, ciepło nieznaczne. Pomimo to dokonało ono wkrótce cudów, i podróżnicy uczuli się odrodzeni do życia. Dzień stawał się coraz dłuższy, aż wreszcie 16. listopada ciemność całkowicie zwalczoną została: nastąpił teraz okres długiego dnia słonecznego, pozbawionego nocy. Wraz z tem rozpoczęły się najwięcej mroźne dni, ciepłota opadała od 30⁰ do 40⁰ stopni niżej zera.

Powoli rozpoczęło się tajanie lodu, bryły pękać zaczęły, a pomiędzy wysepkami lodu ukazywała się woda. Dokoła statku panowało teraz wielkie ożywienie; podzieleni na grupy, podróżnicy mierzyli głębokość morza, dragowali dno jego; zbierali obserwacje metereologiczne i magnetyczne; a zarazem naprawiali uszkodzenia statku, przygotowując się do podróży.

Jednakże olbrzymie pole lodowe, w którem „Belgica“ została uwięziona, nie zmieniało bynajmniej swych wierzchołków, rozmiarami swemi przewyższało ono inne pola i posiadało w średnicy 3 kilometry a 2 do 8 metrów grubości, Zdaleka widzialne były kanały wody po których możnaby było żeglować, gdyby statek mógł był oswobodzić się z lodowych uścisków. Ale oto już i lato miało się ku końcowi, a statek wciąż stał na miejscu. Czeka oswobodzenia. Kiedyż ono nastąpi? Za rok, za dwa, może nigdy...

Należało koniecznie wynaleźć jakiś sposób dostania się do otwartego morza. Doktor Cook zaproponował wtedy, aby wyrąbano w lodzie szeroki kanał, po którym by statek mógł przepłynąć. Początkowo projekt ten uznano za niemożebny do wykonania, gdyż długość kanału wynosić miała 800 metrów długości; do wykonania tej pracy było tylko 16 osób, a piły będące w ich posiadaniu były zbyt krótkie do tak grubego lodu. Rozpoczęto jednak pracę, nie tyle w nadziei dopięcia celu, ile dlatego, aby dać zatrudnienie ludziom i nie dopuścić w nich powtórnego upadku ducha z powodu tak krytycznej pozycji.

Cała załoga podzielona na trzy grupy pracowała kolejno po 8 godzin dziennie. Puszczono w ruch piły, łomy, rydle i środki wybuchowe. Po pięciu tygodniach tej nieustannej pracy, statek przy pomocy pary opuścił kanał wyrąbany w lodzie i wypłynął na otwarte morze.

Po dwuletniej przeszło podróży „Belgica“ zawinęła do portu w Antwerpji 5. października b. r. okryta sławą i witana z nieopisanym entuzjazmem. Uczestnikom wyprawy, Belgowie składają teraz uroczyste hołdy i podają palmy, a cząstka tej sławy spada i na nasz kraj, gdyż przyjęli w niej udział dwaj polscy uczeni.

Dr. M. Stefanowska.

Wyodrębnienie Galicji.

I.

Zarys historyczny dążności do wyodrębnienia Galicji.

(Dokończenie.)

Wyodrębnienie Węgier rozbudziło dążności do szerszego samorządu w Galicji, zwłaszcza w Czechach.

Prasa czeska domagała się dla Czech takiego stosunku do Austrji, jaki uzyskały Węgry i dawały się słyszeć głosy prasy czeskiej, które radziły stawiać takie wymagania i Galicji. Głosy te były jednak odpierane przez prasę polską: „My nie jesteśmy w Austrji, jak Czechy historyczną całością, ale tylko częścią innej całości historycznej, więc nie mamy i nie możemy stawiać tych wymagań, jakie stawią Czesi“ — pisała prasa galicyjska.

Nie ze względu jednak na prawa historyczne, nie ze względu na umarłych, a ze względu na interesy żywych stawiają się postulaty polityczne. Głosy prasy galicyjskiej w 1867 i 1868 r. były przejawem reakcji, jaka nastąpiła u nas po upadku powstania 1863 r. Najbardziej utopijna illuzja, że społeczeństwo może żyć i rozwijać się pomyślnie, nie posiadając samodzielności politycznej obok wyrzeczenia się wszelkich szerszych dążeń, rozpowszechniły się w społeczeństwie polskiem.

To też domaganie się rozszerzenia samorządu Galicji w 1868 r. było znacznie bardziej ograniczonem, niż w 1848 r.

Rezolucja 1868 r. brzmi jak następuje:

Utworzony państwowemi uchwałami zasadniczemi z dnia 20. grudnia 1868 ustrój monarchji nie daje naszemu krajowi tyle ustawodawczej i administracyjnej samodzielności, ile mu się należy ze względu na historyczno-polityczną przeszłość, odrębną narodowość, stopień cywilizacji i rozległości, nie odpowiada potrzebom kraju i warunkom rozwoju..

Następnie stawiają się następujące postulaty:

1. Sejm stanowić będzie wyłącznie o sposobie wyboru do Rady państwa.

2. Delegacja będzie brała udział tylko w sprawach wspólnych.

Z pod kompetencji parlamentu ma być wyjęte:

a) urządzenie Izb i organów handlowych.

b) ustawodawstwo względem zakładów kredytowych.

c) ustawa o przynależności.

d) ustanawianie zasad nauczania w szkołach ludowych, gimnazjach i ustawy o uniwersytetach.

e) ustawa w przedmiocie prawa karnego i policji karnej.

f) ustawodawstwo o głównych zarysach władz sądowych i administracyjnych.

Parlament austrjacki, podług rezolucji, miał określić rozmiar kwoty, która ma iść na potrzeby Galicji, a zużytkowanie tej kwoty musiało by być pozostawionem sejmowi.

Rozpatrując tę rezolucję, widzimy, że autorom chodziło głównie o zabezpieczenie kraju od germanizacji, o możność indywidualnego rozwoju kraju w szkolnictwie i urzędach, — słowem, że tak powiem, o dobra idealne. Kwestja zabezpieczenia ekonomicznego rozwoju kraju nie znajduje należytego uwzględnienia w rezolucji. Przyjęcie jej jednak dało by do rozporządzenia sejmu znaczną sumę pieniędzy, dzięki czemu można było by prowadzić nakładową gospodarkę, by ekonomicznie podźwignąć kraj.

Autorowie rezolucji mieli też reakcyjne dążności: obawiali się bezpośredniego obsyłania parlamentu, co może, jak sądzili, przywieść w krótkim czasie do powszechnego prawa wyborczego, chcieli więc aby sejm stanowił o sposobie wyboru do parlamentu.

Dziś nas oddziela 30 lat z górą od owej rezolucji.

Nie mamy jednak powszechnego prawa i równego wyborczego. Pamiętamy walkę o prawo wyborcze w 1893 r. we Lwowie i Wiedniu: pamiętamy, że Lwów ujawniał więcej energji w tej walce od Wiednia i gdyby jej rezultat zależał od kraju, wówczas bardziej natężona walka, bardziej rozbudzone życie polityczne w kraju mogło by dać znacznie pomyślniejsze rezultaty dla robotniczych i ludowych żywiołów, niż te, jakie są obecnie osiągnięte.

Wład. Studnicki.

35)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

Z samego początku odbywaliśmy podróż, jadąc konno na reniferach; tylko bagaż nasz był wieziony na nartach, ciągnionych przez renifery, zrazu po śniegu, następnie po gołej ziemi lub po mchu, a to z racji że już od 7. września rozpoczęły się dnie ciepłe, przy wietrze południowym; śnieg stajał, słońce zaświeciło i mieliśmy wrażenie rozpoczynającej się wiosny: 10. września lał deszcz obfity, prawdziwie letni; deszcz ten był powodem odpoczynku przymusowego w ciągu całej doby na dolinie rzeczki Kołumas, wpadającej do Oleneku. Ulewa była tak gwałtowna, że chcąc ochronić namioty przed zatopieniem, musiano okopywać je rowami, odprowadzającymi wodę na stronę. Ale już 12. września zawitały znowu mrozy, spadł śnieg i droga sanna ustaliła się na nowo. Odtąd mrozy i śniegi powiększyły się szybko, tak, że już 15. września zmuszeni byliśmy przesiąść z naszych wierzchowców na narty, kryjąc się przed mrozem i wiatrem do worków podróżnych. Z pewnym uczuciem wstydu wobec naszych towarzyszy podróży uskuteczniliśmy tę zmianę sposobu jazdy, ale oni sami nas do tego naglili, chociaż dzieci i kobiety odbywały dalszą podróż na siodłach, wytrzymując mrozy i zawieje z tą nieporównaną pogodą umysłu, jaką dać może tylko zdrowe ciało, zahartowane od dzieciństwa i zdrowa w niem i bohaterska dusza.

W miarę zwiększania się mrozów, które poczynając od 15. września, dosięgły 25 sto- Celsiusza, i w miarę, jak się wzmagała ilość opadów śnieżnych, rosła toż stosunkowo i praca osób podróżujących. Samo już oczyszczanie miejsca pod namioty, odrzucanie warstwy grubej, śniegu twardego i zbitego działaniem wiatrów ciągłych, kosztowało pracy niemałe i zabierało dużo czasu, obok tego koniecznością też było gromadzić coraz większe zapasy materjału opałowego. Szczęściem jednak dla nas, że mrozy i zawieje zawitały dopiero wtedy, gdyśmy mieli tundrę właściwą za sobą i wkraczali w granice lasów karłowatych, północnych, gdzie o drzewo nie było tak trudno, jak uprzednio.

Dopiero w czasie niniejszej podróży naszej mogliśmy się przekonać dowodnie o niezmiernem znaczeniu, jakie mają renifery dla mieszkańców północy; żadne inne zwierzę, udomowione przez człowieka, zastąpić ich tam nigdy chyba nie potrafi. Nie mówiąc już nic tutaj o pokarmie reniferów, do którego ani jeden z gatunków zwierząt naszych roboczych przywyknąć dotąd nie mógł, wspomnę tylko jeszcze o tem, że człowiek na północy, będąc obarczony w czasie podróży ogromnym nawałem pracy różnorodnej, nie może mieć czasu na to, ażeby się opiekować zwierzętami pociągowemi tak, jakby tego wymagały konie n. p. lub bydło rogate. Gdybyśmy nawet z pomiędzy tych ostatnich wybrali „Jaka" tybetańskiego (Bos grunniens), potrzebującego, jak wiadomo, najmniej opieki ze strony człowieka, gdyż umie sam szukać pokarmu pod śniegiem, to i w tym wypadku będziemy mogli przekonać się z łatwością, że wół tybetański ustąpić musi przed reniferem*) w warunkach chwili obecnej właściwych. Cała troska Jakuta o swoje zwierzęta pociągowe i wierzchowe ogranicza się tem, że wybiera na nacleg miejsce z dobrą paszą, ale też więcej nad to ren nie wymaga wcale i umie się obejść bez dalszej opieże strony człowieka. Wyprzężony i puszczony wolno renifer strząsa natychmiast silnymi ruchami mięśni skórnych śniedź mroźną i śnieg naniesiony wiatrem ze swej długiej i twardej szerści, następnie racicami nóg tylnych zwykle oczyszcza sobie nozdrza z lodowatych sopli, które mu namarzają podczas biegu w drodze i zaraz potem rozpoczyna rozbijać szerokiemi racicami nóg przednich twardą powłokę śnieżną, ażeby się dostać do paszy, do mchu; oczyściwszy dość sporą przestrzeń za pomocą nóg, a po części i pyska, zabiera się chciwie i spiesznie do jadła. Po zaspokojeniu na prędce głodu i pragnienia śniegiem i mchem, kładzie

*) Akademik Middendorff, znający z własnego doświadczenia tundry i tajgi syberyjskie, radził na serjo rządom, ażeby się zajęły przyswojeniem i hodowaniem łosia (Cervus alces), w celu używania go do jazdy po bezdrożach północnych. Rada ta jednak, zdaniem naszem, jest niewykonalną, głównie z powodu niesforności i popędliwego charakteru zwierzęcia, nie nadającego się wcale do tresury. Ale pomijając te ujemne właściwości łosia, dosyć jest wiedzieć o tem, że gatunek rzeczony żyć potrafi tylko w granicach lasów liściastych i sosnowych, i że po za tą granicą, idąc ku północy, istnieć on nie może. Co się zaś dotyczy podróży po tajgach leśnych, to dla nich najlepszem zwierzęciem i wierzchowem i jucznem jest wół tybetański; zdałby się on nawet i do podróży po tundrach, gdyby go przyzwyczaić było można do spożywania mchów. Przyzwyczajenie takie nie jest wszakże niemożebne, z racji, że Jak hodowany w Daurji karmi się chętnie w zimie porostami i mchami drzewnymi; ta okoliczność mogłaby być wskazówką, że przy odpowiednim chowie wół tybetański dałby się pozyskać dla celów podróży polarnych, a także i dla udogodnienia życia mieszkańców tamtejszych.

na oczyszczonem przez siebie miejscu dla odpoczynku krótkiego i przeżuwa powoli pokarm, przed chwilą pochłonięty, jeżeli go w czasie tej siesty nie spędzi z miejsca obranego i oczyszczonego inny ren, towarzysz silniejszy, który, jak to zwykle bywa na świecie, rządzi się prawem mocniejszego i rad korzysta z cudzej pracy. Renifer, odpocząwszy w pozie leżącej, wstaje i szuka nowego miejsca dla nowej pracy, ażeby ją zakończyć nowym wypoczynkiem. Przy wyszukiwaniu dobrej paszy dopomaga mu węch niezmiernie delikatny u renów, za pomocą tego zmysłu czują one zapach mchu nawet przez grubą warstwę zalegającego, twardego śniegu. Najadłszy się do syta i na zapas, potrzebny dla całodziennej pracy, układają się renifery na odpoczynek dłuższy, z którego budzi już je zwykle arkan Jakuta, zarzucany im na rogi. Zbudzone zwierzę podnosi się niechętnie, przeciąga się, jak rozespane, prostuje kolejno nogi, ziewa nawet niekiedy i idzie bez oporu posłuszne woli swego pana do długiej i uciążliwej pracy. (D. c. n.)

Z pism i książek.

Z. Doliwa. Szkice historyczno-społeczne. Zurych 1898. Wydawnictwo „Zjednoczenia Towarzystw młodzieży polskiej za granicą". I.

Książka powyższa składa się z szeregu rozpraw, których tematem — z wyjątkiem jednej „o rencie gruntowej" — są ekonomiczne stosunki zarówno w dawnej jak i w nowożytnej Polsce. Oto tytuły prac poszczególnych: Słówko w kwestji agrarnej u nas. O poddaństwie w Polsce. Objawy kapitalizmu w Polsce. Położenie włościan i własności ziemskiej w XIX wieku w W. Ks. Poznańskiem.

Pogląd swój na stosunki rolnicze u nas streścił autor (na str. 115) w zdaniu, że wobec wzrastania proletarjatu rolnego „ani rozwój przemysłu, ani emigracja, ani kredyt włościan, ani wszystkie te środki razem skombinowane nic zdziałać nie mogą wobec ogromu zła. Dlaczego? Zło leży w samej naturze obecnych stosunków ekonomicznych, wynika z zasady prywatnej własności ziemi, wobec której wszelkie paljatywy muszą pozostać bezsilnemi; bezsilnemi dlatego, że sama zasada władania przeciwna jest interesowi większości, a zatem i całej społeczności. Naprawa zła leży całkowicie w przeistoczeniu podstaw dzisiejszej własności ziemskiej".

Umieszczona na czele książki rozprawa o „rencie gruntowej", w której p. Doliwa z wielką ścisłością i pogłębieniem podaje swe teoretyczne „*credo*", wydaje nam się niezbędnem uzupełnieniem szeregu dociekań historycznych, mających zasadnicze poglądy autora podtrzymać i potwierdzić. W ten sposób odnajdujemy organiczny związek pomiędzy teoretyczną a historyczną częścią książki p. Z. Dolwy.

Język poprawny, zwięzły i jasny. *K. R.*

Biblioteka warszawska za grudzień r. zeszłego zawiera bardzo zajmujące studjum historyczne p. Szymona Askenazego p. t.: *Przyczyny wielkiej wojny 1812 roku.* Studjum to odznacza się zwykłemi zaletami publikacji znanego historyka, mianowicie wielką ścisłością w użytkowaniu źródeł historycznych, a obok tego niezmierną jasnością w ujęciu i przedstawieniu kwestji.

Grudniowy zeszyt *Ateneum*, przynosi zakończenie studjum scenicznego J. A. Kisielewskiego p. t.: *Karykatury.* Rzecz ta i w czytaniu zachowuje świeżość i oryginalność, która główną jej zaletą była na scenie.

„Z papierów po Fredrze", taki tytuł nosi najnowsza książka p. Stanisława Schnür-Pepłowskiego. Jest to cenny przyczynek do biografji Aleksandra Fredry (ojca). Z portretem hr. Fredry i podobizną pomnika we Lwowie.

Przegląd filozoficzny wydał rzecz p. Edwarda Abramowskiego p. t.: „Pierwiastki indywidualne w socjologji".

Jean d' Outremer. *La Pologne et la paix générale.* Paris 1899.

W broszurze swej, będącej odbitką z paryskiego czasopisma *L' Humanité nouvelle,* które z powodu konferencji w Hadze cały jeden zeszyt poświęciło kwestji wojny i militaryzmu, autor zaznacza przedewszystkiem, że w memorjale, podanym francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych z powodu wspomnianej konferencji, jest mowa o załatwieniu sprawy Alzacji i Lotaryngji, spraw ormiańskiej i kreteńskiej oraz innych, — tylko o sprawie polskiej niemasz ani słowa. — Autor przyznaje, że wprawdzie z jednej strony z powodu tych konfliktów, które noszą w sobie zarodek nowych nieporozumień i kolizji, niepodobna myśleć o powszechnym pokoju, ale z drugiej znowuż jest przecież podział Polski krzyczącą niesprawiedliwością i dziełem despotyzmu, którego świat spółczesny nie powinien tolerować. Jestto winą głównie zaborczej chciwości Rosji, że kongresowi wiedeńskiemu nie udało się w r. 1815-tym przywrócić w Europie normalnych stosunków, ona również stanęła na drodze wolnościowym porywom w r. 1830 i 1848, a w samej Rosji i w Prusiech odciąga się i teraz uwagę ludu od spraw najżywotniejszych, podsycając jego szowinizm narodowy i nienawiść do Polaków. Kwestja polska domaga się rozwiązania, a w naszych czasach idea sprawiedliwości międzynarodowej nakazuje, by sprawę przynależności pewnego narodu do tego lub owego państwa albo też jego niepodległości rozstrzygano tylko według własnego tego narodu życzenia, objawionego drogą powszechnego głosowania.

Artykuł, o którym mówimy, ma znaczenie nie przelotne tylko, wykazuje bowiem przekonywująco, czerpiąc dowody z dziedziny tak zaniedbanego u nas prawa międzynarodowego, znaczenie i ścisły związek sprawy polskiej z zadaniami polityki międzynarodowej i sprawą postępu oraz wolności ludów. *P.*

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.